

Pożytki z okupacji

12 lipca 2012

Nr 50 przy Broadwayu to wieżowiec, jakich wiele w południowej części Manhattanu, nieopodal Wall Street. Pod tym prestiżowym adresem mieszczą się głównie spółki inwestycyjne i kancelarie prawne, świadczące usługi na rzecz klientów biznesowych. Inna atmosfera panuje jedynie wśród lokatorów z 12 piętra, którzy wprowadzili się tu kilka miesięcy temu.

“Nazwisko, imię, zawód, cel wizyty?” – młody brodaty mężczyzna w podkoszulku zadaje te pytania, nie odrywając wzroku od monitora komputera. Jest recepcjonistą w biurze ruchu Occupy Wall Street. Przez cały dzień odnotowuje wchodzących i wychodzących, których przewija się tu bez liku. Każdy z nich dostaje plakietkę z numerem i napisem “The Occupied Office”. Przekaz może mylić: choć lokal jest rzeczywiście okupowany, wszystko odbywa się zgodnie z prawem. Pod koniec października 2011 r. pomieszczenia udostępnił ruchowi pewien “hojny anonimowy darczyńca”.

OKUPACJA NA PEŁNY ETAT

Biuro składa się z kilku pokoiów, sal konferencyjnych i otwartych przestrzeni. Na ścianach liczne plakaty stworzone po 17 września 2011 r. – czyli po dniu, w którym w Parku Zuccotti na południowym Manhattanie powstało pierwsze obozowisko[1]. Pracuje się tu, przygotowuje przyszłe manifestacje, zarządza relacjami z mediami i lokalnymi stowarzyszeniami. Niektórzy pod nr 50 przy Broadwayu przychodzą codziennie i śmieją się, że w zasadzie pracują “na pełny etat” dla Occupy Wall Street. Dziwna awangarda ruchu, odrzucającego wszelką hierarchię i odżegnującego się od przywództwa?

Mark Ray, doktorant na wydziale historii Europy, woli mówić o sobie jako o organizatorze “współpracującym” z ruchem Occupy Wall Street. Nie szczędzi krytyki “amerykańskim dziennikarzom,

którzy próbowali przedstawić biuro przy Broadwayu w kategoriach sztabu generalnego. Oni zawsze szukają przywódców i sztabów generalnych, by uczynić swoje historie bardziej zrozumiałymi". Tymczasem, jak podkreśla Ray, "nie jest to nasze oficjalne biuro: to po prostu przestrzeń, jakich wiele, gdzie możemy pracować". I jak sam zapewnia, praktycznie z niej nie korzysta.

Podobnie jak w Londynie czy Madrycie, odrzucenie przywództwa, centralizmu i instytucjonalizacji stanowi istotny element dyskursu ruchu Occupy, którego celem jest wprowadzenie w życie nowych praktyk solidarności w terenie. Sposób funkcjonowania obozowiska, okupacji, zgromadzenia ogólnego i grupy roboczej ma równie wielkie znaczenie, co postulaty. Chodzi o to, by nie dopuścić do powstania nowego aparatu biurokracji – mógłby on przywłaszczyć sobie zasługi symboliczne i zdobyte materialne, jakie niesie ze sobą udział w walce. Chcąc uniknąć wyłonienia grup lub osobowości, których głos znaczyłby podczas podejmowania decyzji więcej niż inne głosy, Oburzeni i okupujący na całym świecie już na samym początku ruchu stworzyli procedury i techniki obowiązujące podczas zgromadzeń i w życiu codziennym obozowisk.

Pod koniec listopada Anna (60 lat) pełniła dyżur w punkcie informacyjnym w obozie na Finsbury Square w Londynie. Było to drugie, po obozowisku na dziedzińcu katedry św. Pawła, miejsce okupowane przez Occupy the London Stock Exchange ("Okupuj londyńską giełdę"). "Najważniejsze jest to, że podejmujemy decyzje przez konsens. I to samo ma miejsce w Hiszpanii czy w Ameryce. Nikt nie mówi w imieniu obozu, podobnie jak nikt nie występuje w imieniu całego ruchu" – wyjaśnia Anna.

Hiszpańscy Oburzeni kierują się "Przewodnikiem o dynamizacji zgromadzeń ludowych", który zwraca uwagę m.in. na to, jak "ważne jest zachowanie spokojnej gestykulacji, by nie przekazywać zgromadzonym własnych odczuć i emocji. W każdej sytuacji należy pamiętać o tym, jak wielkie znaczenie w przypadku napięć i braku konsensu ma zwykły uśmiech"[2].

Trudno stwierdzić, czy wszystkie te zasady udaje się zawsze wcielać w życie. Nie mówiąc już o tym, że ich opracowanie okazuje się czasem procesem bardzo bolesnym.

W Nowym Jorku poprawą zasad funkcjonowania zgromadzeń ogólnych zajmuje się specjalna grupa robocza. 7 grudnia 2011 r. w dyskusji zorganizowanej w otwartym dla publiczności atrium w budynku Deutsche Bank, Wall Street 60, udział wzięło ok. 30 osób. Tym razem pytanie brzmiało, czy prowadzący zgromadzenie ma prawo ingerować w jego przebieg, czy też powinien zupełnie usunąć się w cień. Problem jest dość poważny: prowadzący nie może korzystać ze swojej uprzywilejowanej pozycji, ale musi również robić wszystko, by debata posuwała się do przodu i by zgromadzenie mogło się zakończyć. Mimo kilkugodzinnych obrad kwestia nie została rozstrzygnięta.

LUDZKIE MEGAFONY

Szukając sposobów na zapewnienie skutecznego dialogu, w Stanach Zjednoczonych sięgnięto po dość specyficzną praktykę: ponieważ manifestujący nie mają prawa używać megafonów, trzeba było znaleźć jakiś "ludzki megafon"[3]. Gdy ktoś pragnie przemówić do grupy bądź do tłumu, wypowiada zdanie, które jest powtarzane przez ludzi będących w jego najbliższym otoczeniu – i tak dalej, aż słowa dotrą do osób bardziej oddalonych. Przemowa trafia w końcu do wszystkich zgromadzonych. Co ciekawe, to naprawdę działa...

Metoda jest tak prosta, że każdy może się nią posługiwać i przemawiać bez stresu związanego z używaniem mikrofonów. W ten sposób pewna czarnoskóra kobieta, wyrzucona z domu w ubogiej dzielnicy Nowego Jorku, opowiedziała swoją historię 2 tys. demonstrantów. A kilka dni wcześniej przed eleganckim budynkiem Lincoln Center, gdzie mieści się nowojorska opera, zorganizowano artystyczno-polityczny performance – "ludzki megafon" pozwolił każdemu się wypowiedzieć. Jeden z widzów, którzy spontanicznie przyłączyli się do demonstracji, oświadczył: "Sądzę, że opera należy do ludzi i że powinna być

za darmo”. Metody tej używa się również podczas niezorganizowanych protestów w celu ustalenia ich kierunku. Choć nie zawsze udaje się w ten sposób uniknąć niesnasek czy wręcz przepychanek, i choć faktycznie niektórzy sięgają po tę praktykę częściej niż inni, pozwala ona każdemu zabrać głos bez czekania na megafon czy mikrofon. Narzędzie to cieszy się wśród okupujących dużą popularnością.

W Chile, w ostatnim roku uniwersyteckim, studenci zorganizowali największy ruch protestacyjny od upadku dyktatury Augusta Pinocheta. Pod wieloma względami ich akcję uznać można za sukces. Nawet jeżeli główne postulaty – “NIE dla edukacji sprywatyzowanej” – zostały odrzucone przez rząd, zdołali wprowadzić tę kwestię do debaty publicznej, podobnie jak problem podziału bogactwa w państwie.

Chilijscy studenci nie zadali sobie trudu redagowania zbioru procedur obowiązujących podczas zebrań. Choć nie zabrakło głosów sprzeciwu wobec takiego sposobu funkcjonowania, ruch miał wewnętrzną hierarchię, a na jego czele stało kilku charyzmatycznych przywódców, negocjujących z rządem, udzielających wywiadów prasie i reprezentujących ruch w mediach.

UPROŚCIĆ PRZEKAZ

Jedną z nich była młoda komunistka, studentka Camila Vallejo. Jako przewodnicząca Federacji Studentów Uniwersytetu Chilijskiego w 2011 r. brała udział we wszystkich protestach, negocjacjach i konferencjach prasowych organizowanych w tamtym okresie. Zyskała ogromną sympatię ulicy i mediów. Popularność pozwoliła jej na publiczną krytykę neoliberalizmu i sprywatyzowanego systemu edukacyjnego odziedziczonych po Pinochecie.

Niemniej jednak znaczenie, jakie przypisuje się studentce, spycha na dalszy plan debaty wstrząsające uniwersytetami. To, że ruch zdołał nabrać takiego rozmachu, nie jest wyłącznie

zasługą charyzmy Vallejo, lecz raczej tego, że mogła się ona oprzeć na solidnej i aktywnej bazie. Pod koniec roku uniwersyteckiego, w grudniu, dwóch studentów prawa, Andrés i Lucho, pokusiło się zresztą o małe podsumowanie. Skrytykowali w nim kilka decyzji przywódców, którzy nie podporządkowali się decyzjom podjętym przez zgromadzenia ogólne na kampusie.

Giorgio Jackson, student wydziału inżynierii i przewodniczący Federacji Studentów Chilijskiego Uniwersytetu Katolickiego w 2011 r., jest kolejną ważną postacią chilijskiego ruchu studenckiego. Przechodnie spotykający na ulicy tego młodego, 24-letniego mężczyznę zatrzymują go, by uścisnąć mu dłoń i podziękować. Jackson ceni sobie tę nagłą popularność i podkreśla znaczenie łatwo identyfikowalnego przywództwa: “W Chile liderzy są potrzebni. Tu musi być ktoś, kto potrafi tak mówić, by trafić do wszystkich. Gdyby w tym roku zabrakło Camili [Vallejo], ruch nie ogarnąłby tak szerokich kręgów. Ona była świetną przywódczynią. Jest blisko ludzi, ufają jej. Potrafi stworzyć więź między ludźmi a ruchem. Przywódca to ktoś, kto przekazuje idee w sposób jasny i pedagogiczny – i to jest bardzo ważne. Nie sądzę, by zgromadzenia były w stanie to zrobić: przemawia jedna osoba, za chwilę ktoś inny... Trudno wyłuskać z tego jednoznaczne konkluzje. Do tego właśnie potrzebni są przywódcy: upraszczają przekaz”.

Faktem jest, że chilijski ruch studencki miał dużo bardziej sprecyzowane cele niż Occupy Wall Street – musiał więc być skuteczny. W tym przypadku głos przywódców stał się nośnikiem, dzięki któremu głos wszystkich studentów mógł zostać usłyszany. Inaczej wygląda to wśród hiszpańskich Oburzonych i wśród członków Occupy Wall Street. Tu chodzi o powolne i cierpliwe budowanie ruchu maksymalnie egalitarnego, otwartego dla wszystkich. Pytanie jednak, czy postulat otwarcia na każdego, w tym – a może przede wszystkim – na “zmarginalizowanych”, jest realny?

KLASA ŚREDNIA PATRZY NA MNIEJSZOŚCI

Demonstracja Occupy Wall Street, zorganizowana 1 grudnia przed nowojorską operą, była o tyle ciekawa, że twórczo połączyła sztukę i politykę. Impulsem stało się przedstawienie opery Philipa Glassa Satyagraha, opartej na motywach życia Mohandasa Karamchanda Gandhiego. Organizatorom, do których przyłączył się sam kompozytor, chodziło o to, by zwrócić uwagę na swoistą hipokryzję władz miasta Nowy Jork: wyraziły one zgodę na spektakl o oporze bez użycia przemocy, a jednocześnie podjęły decyzję o prześladowaniach ruchu Occupy. Demonstracja odbyła się na oczach policji, a ta zatrzymywała każdego, kto za bardzo zbliżył się do esplanady. Prowadzący protest kilkakrotnie mówił o konieczności udzielenia głosu każdemu: "Podczas naszych zgromadzeń ogólnych kierujemy się postępowymi zasadami. Jako pierwsi nie mówią ci, którzy mają władzę, ale ci, którzy nierzadko zostali wykluczeni ze społeczeństwa".

Wydarzenie trwało kilka godzin. W tę zimną nowojorską noc uczestnicy kolejno opowiadali swoje historie i wyjaśniali, dlaczego znaleźli się w ruchu Occupy Wall Street. Nie było tam jednak nikogo, kogo można by faktycznie uznać za wykluczonego. Wypowiadali się głównie studenci najlepszych uczelni, bezradni wobec ogromu własnego zadłużenia. Chórzyści – ponieważ nie zdołali uzyskać od dyrekcji podwyżek płac. I wreszcie – melomani, skarżący się na niemożność zapłacenia setek dolarów za bilet na Satyagraha.

Aktywizacja mniejszości i osób zmarginalizowanych stanowi cel Occupy Wall Street. Eric Richardson mówi o sobie jako o przedstawicielu klasy średniej. Po studiach na wydziale produkcji muzycznej przeszedł kolejno od względnego bogactwa, przez narkotyki, więzienie i organizację pozarządową na rzecz reintegracji społecznej, aż po squaty. W roku poprzedzającym powstanie ruchu Occupy mieszkał w opustoszałym budynku na Bronksie. We wrześniu trafił do parku Zuccotti i "z ogromną radością" przyłączył się do obozowiska. Jednak, jak sam wyjaśnia, nie był typowym okupującym: "Należę do mniejszości, a tych mniejszości wcale tam nie było: na palcach ręki można

było policzyć czarnych”.

Wypowiedzi innych osób rzucają na tę kwestię nieco inne światło. Manissa Maharawal stwierdza, że w parku Zuccotti spotkała “dużo więcej kolorowych, niż sądziła, że spotka”, ale w zgromadzeniu ogólnym “to głównie biali wypowiadali się i stali na czele komitetów”[4].

Richardson opisuje ów fenomen na swój sposób: “Zasadniczo były to dwa obozowiska – z jednej strony piękne namioty, służące jako punkty informacyjne i przeznaczone dla mediów, z drugiej, za kuchnią, Murzyni i Latynosi... Ludzie spali w nocy na krzesłach. Było w tym coś z segregacji rasowej. Oczywiście niezamierzonej. Ale wyraźnie wytworzył się podział na Zuccotti Park East i Zuccotti Park West. Od razu rzuciło mi się to w oczy, bo działałem w obu tych grupach”.

Po usunięciu obozowiska z parku Zuccotti Richardson zatrzymał się w pewnym kościele okupowanym przez kilkadziesiąt osób, na północy Manhattanu. Później, wraz z innymi, wziął udział w tworzeniu Occupy Newark. Miasto to jest dużo uboższe. Oddalone pół godziny pociągiem od Manhattanu, pełni funkcję gigantycznej sypialni New Jersey i jest w dużo większym stopniu zamieszkane przez mniejszości. “Okupujący z Newark pochodzą głównie z Zuccotti West. Czują się tu właściwie jak u siebie. Staramy się dotrzeć do grup mniejszościowych i stworzyć z nich ruch. Zrobić coś, co do dziś nie udało się Occupy Wall Street na Brooklynie”[5] – opowiada Richardson.

Rzeczywiście – już na pierwszy rzut oka Occupy Newark wygląda dość nędznie. W grudniu na obozowisko składało się góra dwadzieścia kilka namiotów, zajmowanych ewidentnie przez ludzi z marginesu społecznego. Wśród nich było zdecydowanie mniej osób wykształconych niż wśród okupujących spod numeru 50 przy Broadwayu. Mimo to robili wszystko, by obozowisko przetrwało. W tym celu musieli pozostać w kontakcie z centrum Occupy Wall Street. Jakież było moje zdziwienie, gdy poprosili mnie o 5 dolarów na pociąg do Manhattanu, by wziąć udział w

zgromadzeniu ogólnym ruchu...

A przecież Occupy Wall Street posiada środki finansowe. Ruch, który zyskał ogromną popularność, otrzymał też wiele datków. Na miejscu, w parku Zuccotti, odbywało się to bezpośrednio, w gotówce. Podobnie w Londynie można było zobaczyć gapiów wchodzących do namiotu służącego za punkt przyjęć Occupy the London Stock Exchange, by zostawić tam po kilkadziesiąt funtów. Ale datki zbierano głównie przez internet. Pod koniec października opublikowano, także online, bilans, zgodnie z którym Occupy dysponowało 399 305 dolarami. Do grupy roboczej "księgowość" należy m.in. Pete Dutro, odpowiedzialny za podział środków pomiędzy poszczególne sekcje. W rozmowie w biurze pod numerem 50 wyjaśnił mi, że każda grupa ma prawo do 100 dolarów dziennie na zakup sprzętu informatycznego albo na transport. Z pieniędzy tych pokrywa są koszty sądowe w przypadku aresztowania, a także pomaga innym okupującym w Stanach Zjednoczonych.

PROŚBY O PIENIĄDZE NIE WCHODZĄ W GRĘ

Z kolei hiszpańscy Oburzeni z ruchu 15M – nazwanego tak, ponieważ powstał 15 maja 2011 r. – odżegnują się zdecydowanie od jakiegokolwiek zbiórki pieniędzy. "Prośby o pieniądze nie wchodzą w grę!" – oburza się Ricardo García Zaldívar, przewodniczący Attac España. – "W ostateczności możemy zbierać środki na jakiś konkretny cel. Przede wszystkim jednak każdy tu daje swój czas i energię, bez zapłaty. Nieufnie podchodzimy do tych, którzy mogliby ofiarować pieniądze". Skutek jest taki, że wszystkie dary spływające do 15M są w naturze. Pedro Acosta, młody mężczyzna, który na samym początku przybył do Madrytu, by wziąć w czynny udział w ruchu, obecnie odpowiedzialny za dziennik 15M News, wyjaśnia, że "chodzi o to, by zmienić wszystko, także sposób działania".

15M News, z braku środków, nie ukazuje się w sposób scentralizowany. Dziennik publikowany jest w formacie PDF w internecie, następnie wolontariusze drukują go własnymi

środkami. Być może szersza, bardziej zorganizowana dystrybucja pozwoliłaby mu skuteczniej oddziaływać. "Celem 15M News jest kontrinformacja. Staramy się mówić prawdę, zadawać kłam bajkom upowszechnianym przez media. Opisujemy, co robi 15M, co proponują jego komitety. Chcemy informować o ruchu, tworzyć dziennik zwykłych ludzi dla zwykłych ludzi, zmienić sposób uprawiania dziennikarstwa" – wyjaśnia Acosta.

Konieczność stworzenia własnych narzędzi komunikacji wynika z nieufności członków ruchu wobec mediów. Choć większość spotkanych osób – czy to wśród Oburzonych, czy okupujących – godzi się chętnie na rozmowę, niektórzy są dużo bardziej ostrożni i obawiają się, że dziennikarze zniekształcą ich słowa. W Hiszpanii część czynnych członków 15M z zasady odrzuca wszelkie prośby o wywiad. W Nowym Jorku, by spotkać się z niektórymi organizatorami, trzeba było wymienić kilkadziesiąt maili. Dziennikarze zmuszeni są przedstawić szczegóły swojego projektu, a nawet polityczno-zawodowy rodowód. Pod nr 50 przy Broadwayu wielu – bez wątpienia wpływowych – okupujących nie wyraziło zgody na obecność dziennikarzy w biurze. By odwiedzić lokal, należało złożyć podanie poparte przez jednego z członków, zaakceptowane następnie przez resztę na drodze konsensu.

To poniekąd wyjaśnia, skąd wzięło się tak wiele publikacji redagowanych przez omawiane tu ruchy. Michael Levitin, naczelny The Occupied Wall Street Journal, opowiada o powstaniu gazety: "Dołączyłem do parku Zuccotti w drugim tygodniu istnienia obozowiska. Ktoś rzucił ideę stworzenia gazety – czegoś, co dałoby nam możliwość wyrażenia się, stało się wizytówką ruchu i naszą własną opowieścią. Ponieważ nie mogliśmy ufać mediom, postanowiliśmy zająć się tym sami. Od samego początku mogliśmy liczyć na znakomitych autorów, takich jak Chris Hedges czy Naomi Klein".

Dzięki datkom zebranych niezależnie od oficjalnego zgromadzenia ogólnego 8 stron pierwszego numeru wydrukowano w 20 tys. egzemplarzy. Piąte wydanie, jak mówi Levitin, wyszło już w 250

tys. egzemplarzy. Część wydań przetłumaczono na hiszpański. Gazeta, ukazująca się nieregularnie, obok wielkich nazwisk amerykańskiej lewicy proponuje artykuły, których profesjonalizmowi nie można nic zarzucić, a przecież jest to publikacja zaangażowana. Dość wspomnieć tekst o demonstracji w Oakland – nie zabrakło w nim krytycznych opinii przeciwników akcji[6].

Oprócz tego niezależnego organu centralnego w Stanach Zjednoczonych pojawiło się sporo innych czasopism, takich jak Boston Occupier czy The Occupied Washington Post, a także pism o bardziej teoretycznych aspiracjach, by wymienić tylko TIDAL – Occupy theory, occupy strategy, w którym publikują m.in. Judith Butler czy Gayatri C. Spivak, czy też Occupy! An OWS-inspired gazette, która dokumentuje życie ruchu z wielką dbałością o szczegóły. Z kolei Occupy Comix przedstawia "historie 99%"[7] w obrazkach.

Prawdopodobnie jednak najbardziej profesjonalny, rzeczowy i regularny tytuł ukazuje się w Londynie. "Zapraszam do mojego namiotu, dam wam moją wizytówkę!" – proponuje Matthew Myatt, napotkany przeze mnie na Finsbury Square. Myatt jest fotografem The Occupied Times of London. Zjawił się w Londynie, by sfotografować ruch, po czym dołączył do niego i wykonuje swój zawód, pozostając obozowiczem. Także w tym przypadku wydawnictwo jest niezależne od oficjalnego zgromadzenia ogólnego, dzięki czemu niewielkiej grupie osób zaangażowanych w jego tworzenie udaje się na czas zamknąć wydanie.

Od końca października do początku maja ukazało się 13 numerów. Ostatni liczył 20 stron. Oprócz bieżących informacji o tym, co się dzieje w londyńskim Occupy, gazeta jest otwarta na inne ruchy tego typu na świecie i zawiera nawet krzyżówki. Przede wszystkim jednak każdy numer proponuje "wielką debatę". Przypomnijmy może temat z numeru z 20 stycznia 2012 r.: "Occupy opiera się na kilku fundamentalnych zasadach sprawiedliwości w wymiarze gospodarczym, społecznym i

środowiskowym. Jednak podczas gdy część z nas chce znieść obecny system, reszta opowiada się za znaczącą jego transformacją. W tym tygodniu pytamy więc: czy potrzebujemy rewolucji, czy też powinniśmy iść drogą reformy systemowej?”.

CO ZMIENIŁ RUCH OCCUPY WALL STREET?

W początkowej fazie ruchu Occupy, demonstranci byli krytykowani ponieważ nie zgłaszali żadnych żądań. W ich oczach zarzut ten jest pozbawiony podstaw: występowali, ogólnie rzecz ujmując, przeciwko władzy finansjery, rosnącym nierównościom, które stały się udziałem amerykańskiego społeczeństwa, skutkom, jakie kapitalizm niesie dla najuboższych... Nie sprecyzowali swych żądań właśnie dlatego, by nie zamykać ruchu w sztywnych ramach tej czy tej kwestii. „Opracowanie żądań, które mogą być spełnione, wiązałoby się automatycznie z udzieleniem legitymizacji tym, którzy mają władzę, by żądania te spełnić[8]”, pisze filozofka Judith Butler w teoretycznym piśmie wydawanym przez ruch Occupy. Ktoś, kto stara się pokazać, że problem ma wymiar globalny, nie może domagać się od jakiejś konkretnej władzy zaspokojenia skierowanych do niej partykularnych żądań.

Pozycja ta, solidna na gruncie teoretycznym, wymaga jednak pewnego dopowiedzenia. Otóż Occupy Wall Street zajął się wieloma partykularnymi kwestiami. Zaangażował się w pomoc biednym rodzinom eksmitowanym z własnych domów po kryzysie kredytów hipotecznych[9]. Obecnie koncentruje się na kwestii ogromnego ciężaru zadłużenia studenckiego, starając się objąć swą działalnością także wiele innych problemów, które bez wątpienia przełożą się na konkretne „żądania”. „Occupy – wyjaśnia Rebecca, jedna z uczestniczek ruchu spotkana w biurze pod nr 50 przy Broadwayu – kieruje uwagę mediów na inne istniejące już organizacje i grupy protestujących. Jednoczy wszystkie ruchy, zwłaszcza wokół kwestii nierówności gospodarczych.”

Polityczne skutki tej działalności dają się już zauważyć w

społeczeństwie amerykańskim. Doprowadziła ona do „zmiany dyskursu” w Stanach Zjednoczonych, wprowadzając tematykę nierówności do publicznej debaty. Dał temu wyraz prezydent Barack Obama w przemówieniu wygłoszonym w grudniu 2011 r. w Kansas. Polityk dokonał w nim krytyki ideologii wolnego rynku, zwrócił uwagę na konieczność nałożenia wyższych podatków na bogatych i reglamentacji sfery finansów. Sięgając po slogan spopularyzowany przez Occupy, przypomniał, iż dochody 1% najbogatszych podwoiły się w ciągu ostatniej dekady[10].

Zdaniem dziennikarza Johna Nicholisa jest to radykalna zmiana: „Zaledwie 3 miesiące wcześniej prezydent mówił wyłącznie o długu publicznym. Był zwolennikiem radykalnej polityki cięć budżetowych. Teraz przypomina to bardziej sytuację w Europie, gdzie ludzie potrafią pozycjonować się.”

Autor: Raphaël Kempf

Tłumaczenie: Lucyna Mazur

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPISY

[1] Sporą część plakatów można znaleźć na <http://occuprint.org>.

[2] Cytat z: Eduardo Romanos, “Les indignés et la démocratie des mouvements sociaux”, 18 listopada 2011, Laviedesidees.fr.

[3] Praktykę tę stosowano już we Francji na początku XX w., podczas mitingów politycznych gromadzących kilka tysięcy uczestników.

[4] Manissa Maharawal, “Standing Up”, w Occupy! Scenes from Occupied America, Verso, Londyn/Nowy Jork, 2011.

[5] Odwołanie do manifestacji Occupy Our Homes (“Occuper nos maisons”) z 6 grudnia 2011 r. Por. „La révolte des déclassés”, *Le Monde diplomatique*, maj 2012.

[6] Por. Michael Levitin, “Sending a message: Occupy shuts

down ports in Oakland and Pacific Northwest", The Occupied Wall Street Journal, Nowy Jork, 12 grudnia 2011.

[7] „Jesteśmy 99%” to slogan Occupy Wall Street, nawiązujący do “1% najbogatszych”.

[8] Judith Butler, „So, what are the demands? And where do we go from here?”, Tidal, nr 2, Nowy Jork, marzec 2012, s. 10.

[9] Por. „De Londres Santiago, la révolte des déclassés”, Le Monde diplomatique, maj 2012.

[10] „Obama in Osawatomie”, The New York Times, 6 grudnia 2011.